



Ryszard Bąk

część II z II

Sygnatura notacji: **N0481**

Data urodzenia: **01.02.1958 r.**

Data nagrania: **27.06.2023 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Wrocław, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 57 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Artur Kłus: Na terenie zakładu powstał jakiś tajny komitet?

Ryszard Bąk: Tak. Ja byłem szefem.

Artur Kłus: To był tajny komitet „Solidarności”?

Ryszard Bąk: To był tajny komitet strajkowy. Cały czas on się nazywał strajkowy. I tutaj osoby dochodziły. Nawet można powiedzieć, że w tym materiale będzie ujawnione, że robiliśmy to metodą sitową, czyli była matryca, przebitka na maszynie, po czym kładliśmy parę, bo w zakładzie dość dużo osób było, więc nakład „Iskierki” taki początkowy był 1000 sztuk, 1000 sztuk ręcznie zrobić to naprawdę było strasznie dużo czasu, ale była sytuacja taka, że trzeba było bibułą zarzucić cały zakład pracy i nie tylko po to, żeby pokazać, że jest prężny ośrodek podziemny, że to działa, że mamy informacje, które są bardzo poufne, niektóre były, wiedzieliśmy, co się dzieje w Komitecie np., bo mieliśmy swojego człowieka, który był wysoko postawiony, mogę wymienić nazwisko, Nagrodzki, który był w egzekutywie. Nikt by nie powiedział z komunistów, że on mógłby zdradzić kogokolwiek. A jednak donosił nam informacje, które były w tamtym czasie bardzo takie poufne, które nam się przydawały. Osoby, które zrywały ulotki albo napisy, zwoływali tych kierowników wszystkich. Opisywaliśmy w ulotkach i efekt był taki, że on drugi raz tego nie zrobił. Oni bali się ujawnienia tych nazwisk, że działali przeciwko. Kierownicy ZNTK Wrocław 90% to były osoby, które skończyły szkołę podstawową, i reszta kursy tzw. takie partyjne na kierownicze stanowiska pracy, więc oni dostawali dobra w postaci mieszkań służbowych, talonów, więcej kartek, duże premie, więc oni byli wierni bardzo mocno komunistom.

I praktycznie żeby ich jakoś osłabić, ich zapędy takie, jak się dostawali do takiej gazetki, oni się stawali już bardziej łagodni, już nie walczyli z nami. Przez pewien okres, przez parę miesięcy przebitki na maszynie, bo musiały osoby pisać na maszynie, komuniści wiedzieli, kto pisze na maszynie, kto nie. Pisała żona wtedy przewodniczącego ZSMP Wrocław ZNTK Wrocław, przewodniczący, żona przewodniczącego ZSMP. Nikt by nie powiedział, osoba, która on był w egzekutywie w partii, że jego żona działa w podziemiu i robi nam takie rzeczy. W praktyce osoba była nie do wykrycia, bo nikt by się nie spodziewał, że osoba zaufania komunistycznego pierwszego pomagała nam bardzo dużo.

Artur Kłus: To była żona?

Ryszard Bąk: Przewodniczącego Związku Socjalistycznej Młodzieży Polski ZNTK Wrocław. Cuper się nazywała. Teresa Cuper. Naprawdę bardzo dużo nam pomógł. Sam później przewodniczący wyjechał do Niemiec, poprosił o azyl polityczny, bo tam już zaczął występować jako przeciwnik komunie. Dostał taki azyl polityczny. Oni nie wiedzieli, nie mieli tych informacji, kim on był. Wtedy była taka sytuacja, że kto wyjechał do Niemiec, a był z plakatami przed ambasadą czy tam gdzieś i tam z napisami „precz z komunizmem” itd. sobie robili zdjęcia, pokazywali, że nie mogą wrócić do kraju, bo te zdjęcia są już opublikowane w Służbach Bezpieczeństwa. I dostawali taki azyl, że po pewnym czasie, jak ja się spotkałem z tym Andrzejem i powiedziałem, bo on się rozwiódł, że jego żona pisała nam te rzeczy, to nie chciał wierzyć i praktycznie mówił, że bardzo mocno byliśmy komórką podziemną, że byliśmy praktycznie nie do rozszyfrowania. Ja zorganizowałem system wwozu i wnoszenia ulotek. 1500 sztuk to było najmniej, gdzie tych ulotek wchodziło do zakładu, raz w miesiącu musiały być. Były bardzo osoby porządne, nawet niektórzy wartownicy, sokiści też nam wnosili. Wiedzieliśmy, kto nas popiera, kiedy mogliśmy wejść z większą ilością tych ulotek.

Artur Kłus: Ale wchodziliście do innych zakładów?

Ryszard Bąk: Ja pomagałem. W związku z tym, że my byliśmy wcześniej prężni i niektóre zakłady nie miały możliwości, nie umieli robić ulotek i trzeba było zbudować tę ramkę, dowiedzieć się i zdobyć jedwab, jak to się robiło, maszynę, papier było ciężko do zrobienia. I my tu bardzo, Hydraulowi pomagałem ja i robiliśmy z chłopakami bardzo dużo ulotek im robiliśmy, robiliśmy, dla Polaru robiłem, robiłem dla Pafawagu, ZNTK Wrocław robił bardzo dużo i powielaliśmy też ulotki u nas, jak było tutaj, Regionalnej, że przepisywaliśmy, żeby jak najwięcej ulotek zostało wydanych, to kto nam zlecał, byliśmy mocno zorganizowani. Byliśmy na zwolnieniach lekarskich, więc mieliśmy dość dużo czasu. Ja mieszkalem na ulicy Romanowskiego, gdzie podwórko składało się z 4 takich bloków, że mogliśmy sobie przemieszczać się. Tam było dużo zieleni, że byliśmy nie do zatrzymania praktycznie i były tam obserwacje nas. I w tym okręgu było nas około 6 działaczy podziemia. Mieliśmy swobodę kontaktu z sobą taką dość mocną, jak się okazało, że wśród naszych, którzy tam byli, nie mieliśmy, nieładnie mówiąc, osoby, która donosiła albo nas inwigilowała.

Artur Kłus: Drukarnia gdzie się mieściła?

Ryszard Bąk: Drukowaliśmy u pana Zbyszka Jankowskiego, on wynajął, ten kolega, on już nie żyje, ten, który był właśnie tym kierowcą i był w Komitecie założycielskim „Solidarności”, później był w podziemiu, ta osoba, która wy-

kradła sztandar ze mną i z tym wszystkim, on załatwił swojego sąsiada pomieszczenie. W pomieszczeniu piwnicznym przychodziliśmy i drukowaliśmy te ulotki. To było na samym początku. Jak był kryzys, to drukowaliśmy, gdzie to było wbrew zakazom. U mnie w piwnicy też drukowaliśmy. Później było jeszcze takie miejsce na Kleczkowskiej też u pewnej osoby, tylko tam zostało spalone, drukowaliśmy. W międzyczasie była sytuacja, że sieć była bardzo mocno podziemna, rozwiązana bardzo mocno była, złożona, nas już rozpracowywano, tak czuliśmy, że jakiś dziwny samochód nowy Nysa stoi z dziwnymi wycinanymi oknami itd. Zostałem ponownie zatrzymany. Przeszukania miałem w domu, to już nie chcę mówić, że co 13-go byłem zatrzymywany na 48 godzin. Czyli z zakładu pracy, jak wychodziłem, to już do domu nie dochodziłem. W międzyczasie były 2 bramy, ale na jednej i na drugiej byłem zatrzymywany, 48 godzin i w poniedziałek o 5 rano, żeby na 6 do pracy się nie spóźnić, najedzony zostałem, wypuszczany. A jak byłem na zwolnieniu lekarskim albo udało mi się jakoś ten, to były pukania do sąsiadów, do mnie. Nie wyważono nigdy mi drzwi, czyli sąsiadka wychodziła, ona wiedziała, że ja działam w podziemiu, mówiła, że „on rodzinę zabrał i gdzieś wyjechał”. To oni już nie mieli śmiałości, ale w tym dołku to ja chyba 40 razy byłem na Muzealnej. Ja praktycznie każde miejsce znałem, jakiegokolwiek wydarzenie, cokolwiek się działo, to mnie zwiłali albo z zakładu pracy od razu mnie zabierali, nawet w czasie pracy. „Proszę, pan na przesłuchanie na Muzealną. Tam pójdziesz na dół”. Ja mówię: „Ja się dołu nie boję”. Mówię: „Proszę dać mi zaświadczenie”. „Ale żona pana wie, że już pan jest zatrzymany”. Ja mówię: „Ale ja żądam, muszę mieć, dlaczego przyczyna była zatrzymania”. „Zna pan prawo polskie, do 48 godzin nie musimy się tłumaczyć, jest pan zatrzymany”. Po takim mocnym wydarzeniu, wtedy ZNTK było, zostałem z zakładu pracy zabrany i byłem ponownie internowany.

Artur Kłus: Kiedy to się wydarzyło?

Ryszard Bąk: To był listopad.

Artur Kłus: 1982 roku?

Ryszard Bąk: Tak jest. Zostałem ponownie internowany i tym razem do Strzelina mnie wywieźli. W Strzelinie było dość ostro. Codzienna rozmowa była ze Służbą Bezpieczeństwa, codziennie do fryzjera. Najprawdopodobniej, dziś można wnioskować, że ktoś z naszego otoczenia musiał mnie wydać. Że ja dużo robię, że jestem tym szefem tej grupy podziemnej i muszą ze mnie wycisnąć resztę rzeczy. To już było taka sytuacja, że już było straszenie, że już do zakładu nigdy nie wrócę, będę na bezrobotnym, że ja mogę już zapomnieć, że będę wolny, że przygotowują wyrok, 3 lata dostanę. To takie były typowe. W związku z tym, że na takich rozmowach byłem wielokrotnie, więc nie było wrażenia takiego, że ja się czegoś boję. Po przebyciu internowania w więzieniu, to, co na Kleczkowskiej siedziałem, to, co było w Nysie, i później te wszystkie zatrzymania, to ja już się zrobiłem tak, że dzień jak co dzień, będziesz siedział albo nie będziesz siedział. Nie było już takiej sytuacji, że ja się czegokolwiek bałem. Była taka sytuacja, że były nastroje takie, że kiedyś komunizm musi upaść. Poświęciliśmy się tutaj. Po tym Strzelinie, tam byłem krótko w Strzelinie, praktycznie to tam było, się kończył jakoś tam stan wojenny czy coś, aha, likwidowali ten Strzelin, w każdym razie tam byłem miesiąc tylko. Wtedy mnie wypuszczono i wróciłem z powrotem do swojej działalności podziemnej. Po Strzelinie dostałem wtedy fikcyjne zwolnienie lekarskie, że mam wrzody. Byłem w szpitalu przez 3 tygodnie ze Zbyszkim Jankowskim i tak się złożyło, że chorowałem wtedy na te wrzody, ale nie miałem zagrożenia

dla zdrowia i życia. Ale Jankowski był bardzo szczupły, on chorował jeszcze wcześniej, był ode mnie starszy prawie o 20 lat. Służba Bezpieczeństwa namierzyła naszą lekarkę. W szpitalu powiedzieli, że nam będą robić gastroskopię, że to są fikcyjne rzeczy itd., bo ja chyba dostałem, była sytuacja taka, że był strajk, też jakieś tam nielegalne zgromadzenie. I w związku z tym, że to na moim wydziale było, byłem zwolniony dyscyplinarnie za przebywanie na nielegalnym zgromadzeniu itd. Odwołałem się i napisałem do dyrektora. I tam pisało się wtedy do sekretarza czy tam do komisarza wojskowego, że jeżeli na moim wydziale, na mojej hali był wiec i przemawiał pierwszy sekretarz, dyrektor i ten z wojska komisarz, to jak ja mogłem przeszkadzać im, przecież to nie wypadało. Że to byłoby ten. Zostałem chyba z 16 czy z 17 jako jedyny, gdzie zostałem przywrócony do pracy. Mam dokumenty nawet na tę okoliczność, ale dostałem naganę i zabrali mi trzynastkę. Tak naprawdę to przez 5 lat nigdy nie miałem trzynastki. Później była sytuacja, że zawsze coś wymyślono, że mi trzynastkę dyrektor zabrał. Po wyjściu z internowania tego drugiego i zdobyciu zwolnienia lekarskiego zaproponowano mi przez Andrzeja Czerniaka, który był łącznikiem RKS-u naszego wrocławskiego, że z Zachodu przychodzi powielacz, 2 tylko w Polsce są, o bardzo dużej wydajności. Czy my jako zakład, czyli chodziło o ZNTK, jesteśmy w stanie zorganizować, bo wcześniej były produkowane dla 5 zakładów pracy ulotki, czy nie byłibyśmy w stanie uruchomić tej drukarni i zrobić, że struktury nam przedstawią itd. Ja jako ten szef podziemia nie powinienem drukować. W strukturach było tak, że nie powinno się pewnych rzeczy dublować, bo wpadka z drukarni jest od razu, ten cały łańcuszek się rozsypywał, ale nie było chętnych, dlatego że wyrok był 3 do 6 lat za drukowanie. Wtedy podwyższyli w ogóle kary za takie rzeczy. I przejąłem ja tę drukarnię do 1984 roku, czyli 2 lata drukowałem w granicach do 30–40 tysięcy ulotek jednorazowo.

Artur Kłus: Drukowane były pisma „Z dnia na dzień” czy „Solidarność Walcząca”?

Ryszard Bąk: „Solidarności Walczącej” 2 czy 3 razy tylko powielaliśmy, dlatego że wtedy była sytuacja, że „Solidarność” z „Solidarnością Walczącą” nie chcieli wspólnie wydawać rzeczy, bo namawiała ta „Walcząca” bardziej do zbrojnego oporu, ci szli w innym kierunku. I 3 razy, ja pamiętam, pomogliśmy tylko. Jakaś była sytuacja, że dostaliśmy materiały, że mamy pomóc „Walczącej”, ale tak generalnie ja, można powiedzieć, struktury wojskowe, ja miałem swojego przełożonego. Ja dostawałem materiały i przywożono mi materiały, farby, papier. Była inna struktura, inne osoby odbierały to. Było to dość mocno zorganizowane i ja tej osoby nigdy nie znałem. Wiedziałem, że on ma tam Andrzej, a może nigdy Andrzejem nie był. I to było tak zorganizowane. W razie sytuacji takiej wypadkowej to był Andrzej Czerniak czy cokolwiek. To była osoba, która znała tamte osoby, i mnie to nie interesowało. Ja chciałem, powiem szczerze, 2 lata drukowałem za darmo. Drukarnia ta mieściła się na ulicy Kurkowej 39/11. Mój tato mieszkał na Kurkowej 39/15, więc piętro wyżej. Więc ja byłem bardzo poprawnym synem i codziennie odwiedzałem mamę i tatę. Tak że za mną nawet jak szli, to ja szedłem do rodziców. Bardzo taki byłem uczynny. I to taka historia jest tej drukarni, bo zgłosiłem się teraz do IPN-u, żeby odtajniono albo w ogóle jakiegokolwiek materiały żeby znaleźć na temat tej drukarni, bo ta drukarnia i to całe wydarzenie, które zdarzyło się, się odbiło później na losach mojego życia, gdzie i rzeczy pozytywne były, i negatywne z tego wydarzenia. Dlatego że tak, ja przez 2 lata nie wziąłem ani jednej złotówki za pracę, a pracowałem po 12–14 godzin. Rzekomo pieniądze były przygotowane, ale ja nie chciałem pieniędzy, ja to zrobiłem dla idei, ja opłacałem tylko za lokal. I opłacałem osobę, która mi pomagała i gdzie się znajdowała ta drukarnia w domu. Znajdowała się u Krzysztofa Wojciechowskiego. I on mi pomagał. Później się okazało, że po 2 latach, około 2 lata trwało to moje drukowanie, ja już byłem strasznie zmęczony. Codziennie jedno

sprawdzanie się, czy z tyłu ktoś idzie za tobą. A po drugie to już za długo była sytuacja. To powinna być zmiana przekazana, dla bezpieczeństwa nawet, żeby nie było. Nastąpiła taka sytuacja, że dzień wcześniej, jak drukowaliśmy tytuł jakiś, przyszedł brat tego Krzysztofa Wojciechowskiego, który miał klucze. On nie miał prawa mieć klucza, ten mi nie powiedział i ja zgłosiłem to do regionu, że osoba obca, ja ją znałem, ale której nie wierzę, nie wiem, co robi, bo my się ileś tam lat, ja się wyprowadziłem z tej Kurkowej, że ja w tej sytuacji zgłaszam alert, że tę drukarnię musimy zlikwidować. Jest niebezpieczeństwo, prawdopodobieństwo, że ktoś może przyjść albo jest bardzo duże, likwidują. Decyzja padła, że na drugi dzień będzie likwidacja drukarni, przyjdzie parę osób, pozamiatamy, posprzątam, zabieramy drukarnię, papier ten, który był jeszcze niewykorzystany. I to był ostatni dzień. I ja nie poinformowałem tej osoby, u której to było drukowane, ja miałem klucze, tak jakby się nic nie stało. Że spotkamy się znowu wieczorem, będziemy coś tam robić, że przyjechaliśmy, posprzątaaliśmy. Godzina 11. Jestem zatrzymany przez Służbę Bezpieczeństwa, SB. I się dowiaduję, że mój tato jest też zatrzymany. I wszystkie piwnice, później się okazało, zostały rozwalone. Co się okazało? To mogę powiedzieć, ujawnić. Krzysztof Wojciechowski był listonoszem i kradł ludziom dolary. To, co było z Zachodu przywożone, po prostu wyciągał. Pomimo że dobrze był opłacany tu przeze mnie, był samotny, nie miał rodziny, ludziom wyciągał pieniądze. Skargi przychodziły na pocztę wrocławską i dyrektor zrobił na niego taką, można powiedzieć, zasadzkę. I wsadzili do listów, co on roznosił, dolary. Te dolary zginęły i po Krzysztofa W. przyszła milicja, i go aresztowali. I dyscyplinarnie został zwolniony za kradzież, wyciągnięcie. Krzysztof Wojciechowski zaproponował im, że ma coś dla nich, że nie chce być zwolniony jako listonosz i coś ujawni. I powiedział, że w jego domu jest największa drukarnia i że drukuje, bo on znał takie czasopisma, takie, takie i takie. Przyjechała milicja, pusty obiekt, ale nie ukrywajmy się, farby, znaki przez tyle zostały. Ja zostałem wtedy aresztowany, mój tato został aresztowany, się zdziwił strasznie, wszystkie piwnice zostały rozwalone, bo jak to się stało, że to zginęło. Ja zostałem wtedy przewieziony na Psie Pole, nie wiem dlaczego, Psie Pole mnie tam rozpracowało, zostałem przewieziony na Psie Pole. Tam byli dobrzy ubecy i źli ubecy. I jeden z takich, tam przerwę zrobili, bo mnie tam męczono przez parę dni powiedział tak: „Słuchaj, z tego, co słyszałem, to 3 lata masz pewne, nie? Módl się o 3. Ale jest propozycja taka, mogę ci powiedzieć. Jak powiesz, że chcesz wyjechać za granicę, to pozwolą ci wyjechać za granicę. Musisz się zdecydować”. „Ale ja mam ciągle, jak ja tam przyjechałem, mam odmowy paszportowe, mnie nigdzie nie wypuszczą”, a on, czyli był ten dobry, mówi: „Jak się zgodzisz, podpiszesz, to po prostu cię wypuści”. On mnie przekonał, mówi tak: „Będziesz siedział tu minimum 3 lata, to wyjedź za granicę. Bo tutaj nie wiadomo, wyjdiesz czy nie wyjdiesz. Jak masz siedzieć, to sobie idź i przesiedź to za granicę. Coś się zdarzy, że będzie pozytywnie, zawsze możesz wrócić”. I pomimo że podpisałem tzw. wyjazd w jedną stronę, w dokumentach z IPN-u z tego nie ma tego dokumentu, że ja podpisałem, że wyjeżdżam na stałe i że już nie wrócę, tego dokumentu nie ma. Jest tak, jakbym wyjechał turystycznie sobie do Niemiec. Postanowiłem. Logiczne było siedzieć tutaj w więzieniu, bo ten Wojciechowski mnie wydał, jak jeszcze tego brata, nie wiem, co on powiedział itd., mówię, nie ma sensu. Nie mogłem przed wyjazdem nawet się skontaktować z tym Wojciechowskim, bo nie otwierał drzwi, czy tam ktoś stał, bałem się też chodzić już do rodziców, żeby kłopotów nie mieli. Po prostu wyjechałem.

Artur Kłus: Który to był rok?

Ryszard Bąk: To był 1984 rok. To były okolice grudnia. Ja wyjechałem za granicę. Wyjechałem sam, bez rodziny, bez niczego. Było to takie szybkie, mam siedzieć tu w więzieniu, to jak najszybciej opuścić ten kraj, była taka myśl,

żeby tam zobaczyć, może rodzinę wezmę, ściągnę itd. Nie chcę opowiadać wydarzeń, jakie w Niemczech były, bo niestety wyjechałem z bardzo poważnymi, ta choroba wrzodowa mi się, powiem tak, bardzo mocno uaktywniła. Ja praktycznie przez kilka miesięcy w Niemczech nic nie robiłem, tylko brałem zastrzyki, chodziłem po znajomości po szpitalach, zgłosiłem się do socjalu. I tu muszę powiedzieć, taka pozytywna rzecz, że na podstawie swoich dokumentów, które wywoziłem jako działacz polityczny, dostałem opiekę za darmo lekarską. Czyli nie byłem na socjalu, nie poprosiłem o azyl polityczny, ale w związku z tym w Dortmundzie dostałem taką książeczkę, że mogę korzystać z opieki bezpłatnej na terenie Niemiec. Ale kilka wydarzeń, które w Niemczech były, czyli tam później były kłopoty z tą pracą i takie brzydkie traktowanie, czułem się kategorii drugiej obywatelem. Postanowiłem wrócić do kraju. To jest ciekawa sytuacja, że ja nie miałem prawa wrócić do Polski. Więc wymyśliłem sobie taką rzecz, że to mi pozwoli. I mówię tak, najlepiej, że mi ten paszport ukradziono. I w środę poszedłem na policję zgłosić, że zostałem okradziony. W czwartek zgłosiłem to do biura rzeczy zaginionej. Wszędzie dostawałem zaświadczenia, że nie posiadam dokumentów, bo tu mnie skradziono. Tu zgłosiłem się. I w piątek pojechałem do ambasady polskiej, że wiza mi się skończyła niemiecka, zostałem okradziony, pokazałem te dokumenty i muszę natychmiast wyjechać z Niemiec do kraju. I „proszę czekać”. W piątek ambasady były tylko czynne do 13 godziny. Został telegram wysłany i telegram nie przyszedł, czy się zgadzają, czy się nie zgadzają. Przy czym zrobiłem awanturę w ambasadzie, że to jak to można. Przecież mnie Niemcy zaraz aresztują, bo tam bez wizen Niemcy dawali niedźwiadka, że nigdy nie mogłeś przyjechać. Ja miałem wizę ważną, wszystko. Dostałem paszport konsularny jednorazowy. Czyli fotografia, dokument, paszport konsularny. I na podstawie tego paszportu wyjeżdżałem jak ten... Niemcy Zachodnie.

Artur Kłus: Był Pan w RFN, nie w NRD?

Ryszard Bąk: Tak, w RFN byłem. I NRF jak opuszczałem, paszport konsularny, konsul, proszę, bez rewizji proszę bardzo wyjechać. DDR-owcy też nie wiedzieli, co zrobić. „Proszę, tu pan ten wyjeżdża”. Żadnych kłopotów nie miałem. Na granicy polskiej też nie wiedzieli, o co tu chodzi. Też przyjechałem, wszystko fajnie, wróciłem do kraju, okazało się, że paszport się znalazł. Niemcy mi przysłali paszport. Więc na podstawie tego paszportu poszedłem do nas, do urzędu, żeby go wymienić na dowód osobisty, bo wtedy się dowód osobisty zostawiało, dostawało się paszport. I powiedzieli, że nie ma prawa mnie tu być. Jak ja tu przyjechałem? Mówię: „Przyjechałem legalnie”. Pokazałem te dokumenty. Powiem tak, 9 miesięcy czekałem i cały czas czekałem, żeby mi zamienili paszport na dowód osobisty. Na paszport nie mogłem podjąć pracy, bo nikt nie chciał. Muszę mieć dowód osobisty. Ja przez 9 miesięcy byłem bezrobotny. Że nie chciano mi dać. Dostałem się na listę bezrobotnych, czyli tzw. tutaj uciążliwych obywateli. Przyszedł dzielnicowy i powiedział mi, że jak nie podejmę pracy, to pójdę siedzieć, bo unikam, wtedy była ustawa, weszła, że unikam pracy. Ja mówię do tego dzielnicowego: „To niech pan mi załatwi. Mnie żaden nie chce przyjąć”. Napisałem do ZNTK, do kilku wtedy, pamiętam, zakładów pracy, napisałem podanie o przyjęcie mnie do pracy. Niestety, nikt mnie do pracy nie chciał przyjąć. Najpierw się tłumaczyli, że dowodu osobistego nie mam. Później, że już pracowników nie potrzebują. Wyszła taka sytuacja, że ja jako ten bezrobotny, niemogący znaleźć pracy, nawiązałem kontakty ze Wspólnotą Dzieci Niepełnosprawnych, która się tworzyła na Kasprowicza. I była taka sytuacja, że ja mówię, słuchajcie...

Artur Kłus: Który to był rok? 1987?

Ryszard Bąk: Tak.

Artur Kłus: Wrócił Pan po 2 latach?

Ryszard Bąk: Znaczący rok i 6 miesięcy, tak jakoś było, że wróciłem. I ja przywiozłem samochód, zapomniałem powiedzieć, że puszczano mnie, używane auto, takiego busa przywiozłem dla 9 osób. I jak byłem tym bezrobotnym, mówię, to trzeba coś zrobić. To była taka okazja, że ten samochód kupiłem wtedy za 2,5 tysiąca marek, dwuletni, porozbijany, więc go kupiłem. Złożyła się taka sytuacja, że jak byłem bezrobotny, podszedł tam kolega, który miał dziecko niepełnosprawne, mówi: „Rysiek, to weź chociaż to dziecko i jedź z nami do kościoła. Tworzymy Wspólnotę Dzieci Niepełnosprawnych, pierwszy raz jedziemy grupą taką, dość dużo osób, 120 osób pojechało”, ja mówię: „Ale co ja będę robił?”. „My w kilku wsiach dostajemy od gospodarzy za darmo noclegi, mamy bazę, kościół tam nam daje pewne rzeczy, kucharki są, wszystko, twoim zadaniem będzie tym busem przewożenie po tych wioskach, będziesz jeździł, będziesz przywoził”. Oczywiście zaproponowano mi jakieś tam pieniądze, a powiedziałem, że pieniędzy nie chcę, musicie tylko dać na paliwo i za darmo mieszkanie. I to było tak, że pojechałem jako bezrobotny z rodziną, żeby przeżyć jakoś tam. Jakieś tam pieniądze były, bo rodzina pomagała. I moja historia taka życia też powstała, że rozpocząłem swoją drugą historię życia poprzez pomoc dzieciom niepełnosprawnym, bo to był taki wyjazd pierwszy, duży, zorganizowany, po tym wyjeździe tam było dość dużo takiego cierpienia i wtedy doceniłem, co to znaczy mieć zdrowe dzieci. Patrząc się na to cierpienie tych rodziców. W moim życiu coś innego też takiego powstało. I wtedy taka myśl była, że człowiek się zawsze może przydać wszędzie. Tu zostałem tak wciągnięty i założyłem tę wspólnotę, można powiedzieć związki zawodowe z innymi osobami, rodzicami, którzy byli. Później doszła tylko jedna osoba, Ela Pierzynowska, która była poza, miała takie sytuacje, była jak ja, że mieliśmy zdrowe dzieci, a ona w kuchni gotowała, chciała charytatywnie w życiu coś robić, pomóc. Zgłosiliśmy to w sądzie i zarejestrowaliśmy się jako Wspólnota Dzieci Niepełnosprawnych Muminków na Kasprowicza.

Artur Kłus: Od 1987 roku.

Ryszard Bąk: Tak jest. Przez 9 lat byłem głównym organizatorem obozów dla tych dzieci. Czyli charytatywnie to auto miałem. Jeździłem, obóz był dwutygodniowy. Ja robiłem przez te 2 tygodnie, jeżdżąc po tych, około 3000 km. Bo oprócz tego ten samochód był wykorzystywany jeszcze do zakupu zieleniny jakiejś, ja te dzieci wywoziłem na jakieś takie wycieczki jeszcze, na rzeczki, inne rzeczy, a cała baza była w Kaczorowie. Jeden z gospodarzy nam swój dom oddał tam. Dzisiaj się nie odbywa tam żaden obóz, dlatego że są dotacje z Unii Europejskiej i musi niestety być odebrane przez sanepid, a na tamte czasy nie było. Znaczący było wymagane, ale nie było takiej sytuacji. Obozy były na 160 osób nawet, 130, 160. Była taka inicjatywa. Ja w politykę nie wszedłem, pomimo że mogłem, bo Zdrojewskiego znałem, cały ten Komitet Obywatelski znałem. Jedyna rzecz, która z tego Komitetu Obywatelskiego wyszła na plus, że te wszystkie poznałem, Barbarę Labudę też znałem, że ja do nich przychodziłem po jakieś dotacje, dobra, które pozwoliły mi organizować taki obóz. Czyli ja się zaangażowałem w zdobywanie na ten obóz pieniędzy, jedzenia, innych takich rzeczy, które można byłoby pozwolić. Parafia tutaj na Kasprowicza, bardzo mocno z franciszkanami.

Artur Kłus: Parafia św. Antoniego?

Ryszard Bąk: Tak, św. Antoniego. Zamiast wejść w politykę, gdzie miałem taką ładną przeszłość, wybrałem pomoc ludziom, którzy bardziej, uważam, wtedy potrzebowali pomocy niż polityka. Dzisiaj uważam, że to był mój błąd. Że ja uważałem siebie za żołnierza, czyli zrobiłem swoje, oficerowie mają zrobić swoje, żeby było dobrze. I dzisiaj np. czuję się niedobrze z tym co się stało, bo mówię, kiedyś to, co się śmieje, teraz mamy trójpodział władzy, wtedy był jeden podział władzy, partia była, ludzie decydowali tak albo nie, teraz mamy trójpodział władzy i jest bardzo niedobrze, bo sądownictwo jest nie do rozliczenia. Bo każdy z nich jest i dużo rzeczy jest takich, które powinny być na plus dla obywatela, a są praktycznie, uważam, negatywne.

Artur Kłus: Pan dużo mówił o tej charytatywności, a jeszcze w latach 80. Pan współpracował z Arcybiskupim Komitetem Charytatywnym. Jak Pan pamięta tę działalność? Jak to wyglądało?

Ryszard Bąk: Trochę byłem zły, bo Kościół rządził się i rządzi się do dzisiaj swoimi pewnymi rzeczami. Miałem straszne kłopoty, żeby od nich wyciągnąć dary dla tych dzieci niepełnosprawnych. To było coś takiego dla mnie trochę żenującego. Szedłem z podaniem, na Katedralnej były pełne piwnice zawałone, tam podziemia były jedzenia i dostawałem rzeczy, dzieci były na diecie, a smalec dostawałem albo raz nie wiedzieli, co zrobić, dali mi całą paletę tych snickersów. Akurat to było pozytywne, bo ja te snickersy zamieniłem na inne produkty z innymi, bo wtedy były. Tak że ja z Kościołem utrzymywałem raczej takich kontaktów to, co z franciszkanami, wszystkich tam i proboszczy, i wszystkich znałem, dlatego że uważałem, ich status był taki: przyszedłeś boszo i boszo pójdziesz na ten drugi świat. Czyli wszystko, co robią, to robią dla dobra tutaj ludzi. Nie mogą mieć dużo swojego dobra takiego i luksusów. I mi się podobało to. I ja jeżeli jakimkolwiek kościołom, bo do dzisiaj pomagam wszystkim, którzy są, franciszkanom przede wszystkim bardzo dużo pomagam. Robię produkcje charytatywnie dla kultury i sztuki. I moja rola z Kościołem to była na takiej zasadzie, że Kasprowicza i wszyscy, którzy tam w tym otoczeniu byli z tymi, przecież ja jeździłem na obozy, tam jeździli ci księża i bracia, ci, co w przyszłości będą ojcami, jak to się mówi, że w kierunku szedłem takim charytatywnym tylko, to, co było potrzebne.

Artur Kłus: Jeszcze wrócimy do początku lat 80. Jakby Pan powiedział o wsparciu dla internowanych i zatrzymanych, ale czy dla ich rodzin były robione zbiórki, jakieś działania wspierające?

Ryszard Bąk: ZNTK Wrocław. Zostało parę osób pozbawionych pracy poprzez właśnie wtedy, co wspominałem wcześniej, był ten taki strajk, gdzie stwierdzono, że trzeba się pozbyć parę osób za nielegalne przebywanie w danej hali. Dyrektor, najprawdopodobniej to była decyzja komisarza, osób partyjnych i Służby Bezpieczeństwa, żeby się pozbyć z zakładu pracy, a przede wszystkim były osoby namierzone, które mogły te ulotki wnosić do zakładu albo przewozić. Ten kolega Zbyszek Jankowski dostał dyscyplinarne zwolnienie za to, że przebywał, bo oni się domyślali, że on ma coś wspólnego, a przy okazji Zbyszka Jankowskiego i tego autobusu, to później, jak wyszedłem z internowania pierwszego, w nocy w niedzielę poszliśmy i zrobiliśmy znaki, bo były na autobusie, „Solidarność”, zostały zamalowane i my weszliśmy w zakładzie w nocy i na dachu napisaliśmy „Solidarność”. I on tak jeździł po mieście, na drugi dzień dopiero się kapnęli, znaleźli i przemalowali z powrotem, jak było. Wracając teraz do pomocy, w zakładzie pracy

ZNTK kilka osób zostało zwolnionych dyscyplinarnie. I niektóre z tych osób nie mogły znaleźć pracy. Czyli dostały się na czarną listę, gdzie ich nie chciano. Padło takie hasło, że w każdym wydziale, który mamy, ustalamy składnika, który będzie zmienny, i żeby jakieś pieniądze, kto jakie ma możliwości, żeby te pieniądze zostały przekazywane dla nas, a my te pieniądze raz w miesiącu jako komitet podziemny rozdzielaliśmy wśród osób najbardziej potrzebnych. Udawało się niektórym tutaj przez franciszkanów, że załatwialiśmy im paczki żywnościowe, że ja tam przyjeżdżałem, jeszcze tam parę osób i kuria dla tych, którzy byli bezrobotni, którzy nie mieli pracy i jakieś kłopoty mieli, takie i finansowe, i socjalne, to raz w miesiącu te składkowe, które tak zwane było, my w zakładzie nie przekazywaliśmy nigdzie dalej. My w zakładzie ZNTK Wrocław te wszystkie pieniądze, które nam się udało zebrać, dzieliśmy na osoby najbardziej potrzebujące i dawaliśmy te pieniądze. Nie ukrywam, że to nie pokryło w niektórych miesiącach ich potrzeb, które oni posiadali, bo było kilka wpadek takich też, że dawali te pieniądze, że później było straszenie, że płacisz na podziemiu, że jak będziesz to robił, złapiemy cię. I ileś osób z tych, którzy popierali wcześniej „Solidarność”, byli członkami „Solidarności”, tych pieniędzy nie płaciło.

Artur Kłus: A pamięta Pan manifestacje, jak wyglądały wówczas w 1982, 1983, 1984 roku?

Ryszard Bąk: Tak, z takich wydarzeń, bo człowiek jak za dużo mówi, to mogą niektóre osoby stwierdzić, że robi z siebie bohatera ta osoba itd., ale ja byłem w takiej grupie, Zbyszek Jankowski, później miał Olek Harbarczyk, który, święć, Panie, nad jego duszą, też nie żyje. Mieliśmy taką aleję na ul. Romanowskiego, że w nocy ubieraliśmy pończochy, siekiery braliśmy obok, farbę i pisaliśmy: „Solidarność zwycięży”. I robiliśmy to regularnie, 2 razy czasami w tygodniu, raz w miesiącu, zależy, jak było ustalone. Drzewa były... Na ogół robiliśmy to tak, że jak ludzie do kościoła szli, żeby widzieli w niedzielę, że są te napisy, ci się wściekali, ale to były dość mocne akcje z tymi drzewami, że dzisiaj to można powiedzieć, że człowiek wtedy nie myślał, bo to były takie emocje, siekiera i pończochy na głowę. Jak oni by tam byli ci z bronią, toby nas wystrzelali, ale tak się czuliśmy bezpiecznie, że jak mamy te siekiery, idziemy. Przez 4 lata malowaliśmy te drzewa. Później oprócz naszej inicjatywy było tak, że inne osoby dochodziły, że jak my nie namalowaliśmy, ktoś inny też je pisał, jak gdyby wciągnęliśmy. I ja dodatkowo tutaj, była tzw. aspiracja, że powstała „Solidarność Walcząca”. To tam opisywano, na czym to polega, bo przecież mieliśmy ulotki z „Solidarności Walczącej”, jak zrobić raki, jak zrobić proce, jak zaatakować, były tzw. instrukcje, jak fizycznie możecie się przeciwstawić tym zomowcom, którzy was biją. Jak wyszedłem z Nysy, stworzyłem 30-osobową grupę. Zrobiliśmy 30 proc w zakładzie pracy, aluminiowych, takich super. Gumy były dane, takie zrobione było na wzór, bardzo dobre. I mi się udało, akurat pracowałem w takiej brygadzie, wszystkie łożyska od dziesiątki do trzynastki w zakładzie pracy zostały rozbite, rozebrane i wszystkie te kulki, które były, zostały wyniesione z zakładu pracy. Tego były tysiące. Dwa, dostałem taki schemat i dałem na produkcję seryjną robienia raków takich składanych, szlifowanych. To było bardzo ostre i jak mieliśmy spotkania i, można powiedzieć, potyczki, my się śmieliśmy, to na placu Pereca, a mówiliśmy na to gazplac, że tam zawsze były starcia zomowców z manifestacją, czyli jak wychodziliśmy 13-go z katedry, to praktycznie ten region był taki, że wszyscy chodziliśmy manifestować raz w miesiącu i tam się spotykaliśmy. Pierwszym takim wydarzeniem, którym było, który mi opowiedział, bo ja nie wiedziałem, w kuzynie miałem milicjanta. Ten kuzyn, okazało się, był wtedy w ZOMO, czyli Zmechanizowany [Zmotoryzowany] Oddział Milicji Obywatelskiej. Przecież to byli zomowcy. On jeździł na polewaczce, ale ja dowiedziałem się tego po 15 latach dopiero, że on tą polewaczką jeździł. Była taka sytuacja, że na Witolda stała cała baza i oni praktycznie stali przed katedrą niedaleko.

I tam była ich baza. Postanowiliśmy, my się spotykaliśmy u Harbarczyka, 30 osób, które chcieli uczestniczyć tak zbrojnie, czyli będziemy rzucać proce, będziemy mieli raki i aktywnie będziemy się bili z tymi zomowcami. Pierwsze było tak, to te kulki, będziemy szyby wybijając, jak on będzie tą polewaczką jechał, jak ten gaz puszcza, to on daleko nie pojeździ. Ustawiliśmy się na Witolda, stały samochody, te wszystkie polewaczki czekały na akcję, my wyszliśmy za most i w 30 osób, 30 proc po kilka kulek zdemolowaliśmy całkowicie wszystkie szyby w polewaczkach. W tym dniu polewaczki nie wyjechały. Oni na samym początku tak się przestraszyli i wtedy szyby nie były takie klejone jak teraz. Te kule dziwnie przechodziły, tak jakby był strzał. On powiedział, że jak stali, mieli jechać, stracili wszystkie szyby, oni mieli jeszcze wtedy duże takie kratki, później powstawiali specjalnie takie małe, żeby kulki nie przeszły, cały konwój rozwaliliśmy i w tym dniu polewaczki nie wyjechały. Ja nigdzie nie zarejestrowałem, teraz w materiałach IP-N-u jest to ujawnione, że taka grupa była, bo nie chcieliśmy dojść też do struktur, bo to była 30-osobowa, tak nieładnie mówiąc, zbieranina, żeśmy się spotykali, oni to mieli. Z czasem wyszło, że 2 osoby mieliśmy, które później zaczęły współpracować ze Służbą Bezpieczeństwa, jedna z tych osób nawet wyjechała do Francji, żeby inwigilować Polonię. To po latach powychodziło, która to osoba, że wiedzieliśmy, że on współpracuje itd. Mnie się np. udało, to, co zrobiłem, wyprodukowałem tych bardzo dużo raków takich, że u nas taki SKOT był. Pompowany samochód bojowy, wojskowy taki, na czterech kółkach. On podjeżdżał i jeździł, i rozwalał nas wszystkich. Nic nie mogliśmy mu zrobić, żadne kamienie, żadne nic. Udało mi się wtedy, całą torbę miałem tych raków, rzucić pod koło i później się okazało, że kupili pełne gumy. I 8 pocisków był w stanie sam napompować, ta sprężarka, był zrobiony. Były tak raki ostre i takie były dość duże, że całe koło jedno zneutralizowałem. I on usiadł, oni nie wiedzieli, co jest, i nie mogli jechać tym SKOTEM. Siedział, bo to był czterokołowy, i nie wiedzieli, co się dzieje. Wtedy młodego Morawieckiego nawet poznałem, bo tam ktoś krzyknął: „Morawiecki jest”. Okazało się, że to był młody Morawiecki, gdzieś tam uciekał z kolegami. Nawet mu zrobiliśmy taką, bo chcieli go wyłapać, że on nie wie nawet, że uratowaliśmy go, bo chcieli go przechwycić i my stanęliśmy fizycznie w jego obronie, strzelając tym i tym. Oni się strasznie bali tych proc. Raków. Taka przygoda, można powiedzieć, „Solidarności” typowo walczącej, ale typowo takiej fizycznej, że walczyliśmy tutaj. Wcześniej ulotki 3 razy robiliśmy, ale nie kazano nam łączyć dwóch „Solidarności”. Nie wiem, dlaczego taka była sytuacja. W ZNTK była grupa tak zwana walcząca, czyli wszystkie wiece, chodzenie na msze. Czyli nie było takiej sytuacji, że grupa nasza nie poszła np. 13 na mszę do katedry. Nie było takiej. Czasami było nas i 150, jak się spotykaliśmy. Skrzykiwaliśmy się, że z ZNTK dzisiaj idziemy wszyscy. Jak trzeba będzie, to będziemy się z nimi naparzać. To była taka historia, że do tej „Solidarności” ten i powiem, miesiąc przed śmiercią był tu Morawiecki, opowiedziałem mu całą tę historię, że byłem w „Solidarności”, że mam dokumenty, i miałem się do niego zgłosić po legitymację o numerze nie jeden, ale na pewno w pierwszej dziesiątce, żeby być. Później się okazało, że „Solidarność Walcząca”, oni byli wszyscy zaprzysiężeni, czyli powstało takie podziemie, oni składali przysięgę, byli wśród swoich. Ja już byłem tak mocno zaangażowany i w tę „Solidarność”, ZNTK, i tutaj tę zbrojną grupę, później tutaj doszła ta wspólnota tych dzieci, bo to 1987, a do 1989 roku. I później te spotkania też miałem takie potajemne z tymi chłopakami, u których byłem internowany, i coś tam tworzyliśmy, jakieś grupy, że ja już nie miałem czasu na pozostałe rzeczy, by dalej się angażować, bo ja do 1989 roku czynny udział brałem w oporze nie tylko społecznym, ale prowadziłem podziemie praktycznie od 1982, 7 lat byłem szefem podziemia, takiego dużego zakładu pracy, nasze struktury były bardzo mocno rozszerzone. Ten czas tak szybko jakoś tak minął, że dzisiaj zostają tylko te wspomnienia. Z dzisiejszych czasów i z tego wszystkiego, co zostało podsumowane, to powiem tak, jestem dumny, że byłem działaczem, że założyłem „Solidarność”, że powstała opozycja, że zmieniliśmy wszystko to, co było niedobre, i w porównaniu teraz,

jak porównamy Rosję i Białoruś, to naprawdę zrobiliśmy, i to, co się stało w międzyczasie, ta gospodarka, ta pomoc, zbliżenie się Zachodu i nowe technologie, ta stopa życiowa bardzo mocno się poprawiła u nas. Nie można powiedzieć, że nie. Można powiedzieć, że mieliśmy bardzo dużo szczęścia, bo gdyby był Putin w tamtym czasie, to mój wyjazd z Kleczkowskiej nie skończyłby się na pewno w Nysie, tylko decyzja byłaby jedna. Wywieź ich wszystkich z Polski. To, co się dzieje teraz na Ukrainie, mogło się dzieć w Polsce. I mogłoby nas dzisiaj nie być. Nie byłoby tego wywiadu, bo wszystkich, którzy się przeciwstawiali, przeciwstawiają Putinowi, widzimy teraz, co się dzieje, milionerzy, miliarderzy giną. Nie ma litości dla opozycji. My, można powiedzieć, przeszliśmy to jakoś historycznie, bo były wypadki, że byli i mordowani koledzy, działacze nasi, że my w porównaniu do tego, co się dzieje na Ukrainie i to, co się dzieje z Putinem, to my mieliśmy naprawdę dużo szczęścia. Ja bym chciał tylko podziękować kolegom, którzy byli zaangażowani i budowali podziemie, i narażali siebie, własne rodziny, wszystko, że dzisiaj mogą być z siebie dumni, że zrobili dla Polski coś, co zostanie na wieki i będzie, myślę, szanowane. Te nasze wszystkie postawy, które mieliśmy, patriotyczne, że będzie to szanowane przez ludzi młodych, żeby pielęgnowali tę historię i pamiętali o nas.